

Przekonałam się, że można poświęcić siedem lat życia na pracę, do której nie ma się przekonania, i wykonywać ją dobrze. Można wstawać, ubierać się, spotykać z ludźmi, ścisnąć dłonie, wydawać i wypełniać polecenia, podejmować decyzje, odnosić sukcesy, mylić się, zarabiać, dysponować funduszami firmy, przysparzać jej zysków, nie czerpiąc z tego satysfakcji. Myślałam, że jest to jedyna możliwa droga. Że nie mogę się uwolnić od łańcucha, skoro jestem jednym z jego ogniw, i że nie ma innego świata poza należącymi do moich rodziców sklepami z konfekcją damską, w których dorastałam i pracowałam przez siedem lat. Żyliśmy dla i ze sklepów, jak nasi poprzednicy; kwestia dziedzictwa, sprawa tradycji. Wychowałam się tam, był to nasz fundament. Z trudem przyszłoby mi myśleć, marzyć, wypowiadać się o innej rzeczywistości; byliśmy sprzedawcami ciuchów z ojca na syna, z matki na córkę, podobnie jak nasi sąsiedzi, kuzyni, znajomi. Gdzieś u źródeł była Polska, postać żydowskiego krawca, nierozzerwalny splot prawdy i mitu; stamtąd pochodziłam, a tu były nasze sklepy, nie uważaliśmy

za potrzebne się nad tym rozwozić, zostawialiśmy to historykom, „intelektualistom”, którzy niezbyt nas obchodzili – nie te same zainteresowania, nie te same obyczaje, nie uważaliśmy, by ich świat i nasze życie mogły mieć ze sobą coś wspólnego.

Podobnie jak cała moja rodzina nauczyłam się wybierać i kupować towar, który miał trafić do naszych sklepów. Jeździłam do paryskiego zagłębia niewielkich szwalni, zwanego Sentier, a ściślej mówiąc do magicznego trójkąta w II dzielnicy Paryża, zawartego między ulicami Abukiru, Réaumura i bulwarem Sewastopola. Później, pod koniec lat dziewięćdziesiątych i na początku nowego tysiąclecia, kiedy w Sentier zrobiło się drożej, przeczuliśmy się w okolice ulicy Popincourt w XI dzielnicy, do strefy obejmującej ulicę Chemin-Vert, czyli Zielonej Drogi, bulwar Woltera i ulicę Sedaine’a. Obsiedli ją chińscy producenci i hurtownicy, u których konfekcja szyta w okolicznych szwalniach sąsiadowała z towarem importowanym w superkonkurencyjnych cenach – džinsami, lekkimi bluzkami, lnianymi tunikami, kurtkami puchowymi czy też cienkimi pikowanymi kurtkami, wyciąganymi z kartonowych pudeł, w których je przed chwilą dostarczono. Mniej troszczyliśmy się wówczas o to, skąd pochodzą ubrania, kto je uszył i jak, niż o to, by w piętrzących się stosach wyszukać kilka modeli, które mogłyby się spodobać naszym klientkom. Trzeba było wybierać szybko i trafnie. Asortyment *made in China* nie budził szczególnych refleksji, w mojej świadomości zastąpił po prostu rzemiosło rodem ze sztetlu.

Dopiero później, zapewne wtedy, kiedy stałam się wrażliwsza na dyskurs dotyczący globalizacji, uświadomiłam sobie ścisły związek branży konfekcyjnej z procesami migracji. Dostrzegłam tę rzeszę często niewykwalifikowanych i żyjących w trudnych warunkach ludzi pochodzenia tureckiego, chińskiego, pakistańskiego, portorykańskiego, którzy tu czy też u siebie trudzą się przy swoich stanowiskach pracy, godzinami wykonując stale te same gesty. Dopóki tkwiłam jak w bańce we własnym środowisku, wyobrażałam sobie, że szeregowi pracownicy szwalni wykonują wyłącznie polecenia wydawane w jidysz.

Wiedzieliśmy, że gdzieś w łańcuchu naszych przodków widnieje postać żydowskiego krawca, najbardziej nam znajoma i bliska. Mieliśmy wszyscy w pamięci opisy pomieszczeń z podłogami, na których poniewierały się ścinki materiałów i szpulki nici; opowieści o przyborach do szycia, które cudem wychodziły cało z pogromów i odradzały się z popiołów; znaliśmy odwieczne gesty, widok szpilek sprawiających wrażenie, jakby się same wślizgiwały między wargi, nożyc tnących bez udziału palców. Naparstki przekazywano sobie niczym talizmany z pokolenia na pokolenie na długo przedtem, zanim stały się znakiem słynnej marki wyrobów kaletniczych. Wiedziałam o tym z legend z rodzaju tych, jakie krążą w rodzinach – nikt już dokładnie nie pamięta co i jak, sam przedmiot dawno nie istnieje, ale wspomnienie trwa. Należy do tej samej kategorii, co opowieści o chwilach, kiedy wraz zapadnięciem nocy, a czasem długo po zmroku,

dzieci przyglądały się, jak rodzice przykrywali płachtą stoły do pracy, a później również maszyny do szycia, i na kilka godzin szwalnia zamieniała się w sypialnię. Wiele jest takich dzieci, dziś już dorosłych, które jeszcze to pamiętają. Historia ich życia jest ściśle związana z rzemiosłem rodziców; mogłyby powtórzyć za jedną z moich kuzynek, Batyą Zeev, która po zakończeniu wojny zamieszkała w Hajfie, w północnym Izraelu, i w wolnym czasie nadal zajmuje się poprawkami krawieckimi: „Bo w naszej rodzinie – mówi (a kiedy mówi o rodzinie, ma na myśli również ojca, brata, bratową, wuja i ciotkę, zamordowanych w obozach) – zawsześmy się zajmowali krawiectwem”.

Dla wielu z nas to „zajmowanie się krawiectwem” miało znaczenie dosłowne. Maszynę do szycia czy choćby igłę i nitkę uznawano za bagaż, który należy ze sobą zabrać w każdych okolicznościach, niezmiennie najgorszych, i dzięki któremu tutaj lub gdzie indziej można stanąć z powrotem na nogi. Przekonał się o tym pewien stary znajomy naszej rodziny, właściciel trzech sklepów, który w latach dziewięćdziesiątych przyszedł do moich rodziców z prośbą o pożyczenie starej maszyny Singera; w tamtym czasie nikt z ich otoczenia nie umiał się już nią posługiwać, a on i owszem, i bardzo był zadowolony, że sobie o niej przypomniał, kiedy nieprzychylny los zmusił go do rozpoczęcia wszystkiego od zera.

W *Czarnej księdze*, w której pisarze Ilja Erenburg i Wasilij Grossman zebrali relacje o mordowaniu Żydów przez armię niemiecką, Jefim Gechman opowiada, jak 23 marca 1944 roku

wrócił do Brahiłowa, swojej rodzinnej wsi na Ukrainie. Sto metrów przed pierwszymi zabudowaniami jego wątpliwości rozwiąła tabliczka przybita do przydrożnego słupa: „Mia-  
sto bez Żydów”. Informację zapisano w języku ukraińskim i niemieckim, a potwierdzili ją mieszkańcy sąsiedniej wsi. Kiedy Gechman spotkał się z Abramem Cygelmanem, ostat-  
nim pozostałym przy życiu krawcem i jednym z nielicznych ocalałych Żydów, ten poprosił go o pomoc w odzyskaniu skradzionej przez policjanta maszyny do szycia. „Przyjaź-  
nił się pan z moimi dziećmi i dobrze znał moją rodzinę. [...] Jedyne, o co pana proszę: niech mi pan pomoże odzyskać moją maszynę do szycia. [...] Niech się pan nie martwi, kra-  
wiec Cygelman potrafi zarobić na życie”. I Cygelman zabrał się na nowo do pracy.

To kontinuum było naszą religią: krawiec, maszyna do szycia, Żyd, zaczynanie od nowa, ucieczka – wszystkie te elementy należały do jednej i tej samej historii. Wszys-  
cyśmy ją dobrze znali. Szczegóły mogły się zmieniać, ale zarysy pozostawały te same. Nadawały nam strukturę, kształtowały wyobrażenia. Dzięki temu potrafię zrozumieć, jak gdybym sama tego doświadczyła, zdziwienie pianisty i dyrygenta Daniela Barenboima, kiedy jako dziesięcioletek wyemigrował do Izraela z rodziną, muzykami wywodzą-  
cymi się ze środowiska muzyków. „Coś takiego – powiedział, gdy zaczął poznawać swoich nowych rodaków – a ja my-  
ślałem, że wszyscy Żydzi są pianistami!”. Ten okrzyk brzmi w moich uszach bardzo znajomo: moglibyśmy powiedzieć

to samo o naszym świecie krawców żyjących ze *szmates*. Język jidysz zapożyczył to słowo z polskiego; oznacza ono szmaty, łachy, bezwartościowe gałgany, które nasi rodzice, dziadkowie, pradziadkowie skupowali, przerabiali i sprzedawali. Wędrowało poprzez dzieje, kraje i języki; przypomnijmy sobie, co powiedział Kafka w roku 1911: „Wszyscy rozumiemy język żydowski znacznie lepiej, niż się nam wydaje”. Funkcjonowało nawet w pewnym momencie w języku obozowym jako rodzaj makabrycznego eufemizmu: „Niemcy kazali nam mówić o ciałach, że to są *Figuren*, to znaczy... kukiełki, lalki, albo *Schmates*, to znaczy szmaty. [...] Ten, kto wypowiedział słowo «martwy» albo «ofiara», był bity” – opowiadają w filmie *Shoah* Motke Zajdel i Icchak Dugin, dwaj świadkowie Zagłady. Zupełnie jakby słowo *szmates* stało się zwierciadłem ich losu, o czym opowiada były więzień obozu koncentracyjnego Henryk Buławko: „To my sami byliśmy *szmates*”. Psychoanalityczka Anne-Lise Stern, wywieziona tym samym transportem, co dzieci z Izieu, dodaje: „Każdy podmiot-były więzień wspomina o tym, jakim był ludzkim łachmanem. To jest właśnie wiedza byłego więźnia – wiedza na temat śmiecia, szmaty”.

Były różne *szmates* przedwojenne, były i powojenne. W wyniku ewolucji branży odzieżowej warsztaty krawieckie naszych przodków przekształciły się w sklepy z konfekcją damską. Szyto w nich znacznie mniej, a potem wcale; właściciele sklepów zaczęli się zaopatrywać w towar u innych, najpierw w małych szwalniach, a później, o wiele później, po

upływie kolejnych dziesiątków lat, w miarę rozwoju branży, u dostawców, którzy już niczego nie wytwarzali, tylko przekazywali zamówienia fabrykom. W tamtym okresie były to raczej szwalnie w Chinach, a nie w Bangladeszu. Znam dobrze ten temat, ponieważ z rozmaitych powodów, długo by opowiadać, sama zaczęłam pracować w należącej do naszych rodziców rodzinnej firmie handlu gotową konfekcją jako współodpowiedzialna za zaopatrzenie. Znany nam wszystkim dowcip stanowczo nie był dowcipem: „No a kim ty właściwie chcesz zostać, jak dorośniesz, ale tak serio? Krawcem męskim czy damskim?”.